

# 268 Obrazek z Polski powiatowej

● Maciej Z. Bordowicz: „Idący o poranku”. Reżyseria: Kazimierz Dejmek. Scenografia: Andrzej Śadowski. Prapremiera na scenie teatru „Ateneum” w Warszawie.

Ponury jest ten obraz Polski powiatowej, jaki przedstawiam nam młody autor (rocznik 1941). W bufecie dworcowym najeżdżającej stacyjki spotykają się wykołajeni, pijący, paskarze spekulanci, ludzie bez perspektyw, bez przyszłości. Nie ma na tym obrazie żadnej jaśniejszej barwy, gdyż nawet ów były pracownik UB, który reprezentuje w sztuce pewne wa-

lory ludzkie i moralne, nie może być uważany za postać pozytywną i sympatyczną. „Idący o poranku” jest utworem, który można zestawić z „Konduktem” Drozdowskiego, czy z „Nocną opowieścią” Choińskiego. Ale w tamtych sztukach były jakieś problemy, które wynikały z akcji i rozmów bohaterów. U Bordowicza zostaje już tylko absolutne wyobcowanie człowieka, jego tragiczna samotność, niezależnie od szerokości geograficznej i ustroju społecznego. Czy tak jest w istocie? Czy taka jest prawda naszego kraju? Czy nie jest to po prostu fascynacja współczesną literaturą amerykańską?

Takie pytania zadaje sobie widz, oglądając spektakl w „Ateneum”. Przy czym nie można odmówić Bordowiczowi talentu. Ten młody aktor Teatru Narodowego ma na pewno coś do powiedzenia w teatrze nie tylko jako wykonawca cudzych tekstów, ale i jako autor własnych. Największą zaletą jego sztuki (pierwszej jaką wystawił zawodowy teatr) jest jej język, jej dialog. I choć wiele w nim brutalności, czasem zgrzytnięcia nawet coś wulgarnego, to jednak czuje się, że pisał ten dramat poeta, człowiek, który smakuje kadencję zdania, jego rytm i dźwięk. Bordowicz umie obserwować życie, ma ucho wrażliwe na sposób mówienia ludzi spotykanych w knajpie, czy na ulicy, umie różnicować ich język w zależności od ich charakteru, pozycji społecznej i usposobienia. Nie umie natomiast konstruować akcji i tu tkwi również słabość jego sztuki. Skutkiem tego nuży nas ona chwilami swymi dłużyznami, za mało w niej się dzieje. A także robi wrażenie bardzo powierzchownej i naskórkowej. Pod powierzchnią rodzajowego opisu i zewnętrznej obserwacji nie wyczuwa się poważnych problemów, ani postawy autora. Wszystko jest tu jakby zbiektywizowane do ostateczności, autor lęka się zajęcia stanowiska, potępienia tego co opisuje, przeciwstawienia mu innego wzorca życia, lub choćby wywołania protestu i oburzenia u widzów. Jest tylko rejestratorem, a to w moim odczuciu w tym wypadku nie wystarczy.

Z uznaniem można się odnieść do decyzji artystycznej KAZIMIERZA DEJMEKA, który podjął się pracy nad sztuką debutanta. Nie znalazł w niej jednak wielkiego pola do popisu. Dał przedstawienie nie

wyróżniające się szczególnymi walorami inscenyjacyjnymi. Miałoby być wadę, że w dążeniu do maksymalnej naturalności i potoczności słowa aktorzy zaczęli tak bardzo zacierać wyrazistość dykcji, iż nie można było zrozumieć części słów nawet wtedy, kiedy wychodziły one z us. aktorów znanych z czystości i precyzji intonacji. „Ateneum” posiada dziś najlepszy chyba w Warszawie zespół do obyczajowych sztuk współczesnych. I o tej trudności wyobrazić sobie lepszą obsadę „Idącego o poranku”. Zobaczyliśmy małą antologię bogactwa form rodzimego alkoholizmu. Od „dużego jasnego”, aż po „setę”. Wyżyny obserwacji i prawdy w ukazaniu postaci życiowego bankruta i wykołajca osiągnął JAN MATYJASZKIEWICZ, jako pan Punió. Dzieinnie sekundował mu LUDWIK PAK (Kazia). Pyszne studium człowieka złamanego, pijącego na umór z rozpaczy dał ROMAN WILHELM (Cudny). Młodych pijaczków, co to jeszcze próbują podskakiwać, zagrali niezawodni BRACIA KOCINIAKOWIE, a także bezbłędny w roli „stawiającego się” Plechaczka, który się urznął bo idzie „do woja” — MARIAN RULKA. Osobne omówienie należałoby się roli bufetowej pani Kosickiej, którą zagrała HANNA SKARZANKA. Była prowincjonalna blond Wenus (zmieniła kolor włosów), jakąś Mae West z Klaja, kobieta władczą, o obfitych kształtach, wciąż jeszcze tak pociągająca, że jest przedmiotem pożądań starszych i młodszych mieszkańców miasteczka, a nawet przyczyną tragicznych w swych skutkach konfliktów. STANISŁAW LIBNER jest zabawnym „chłopem z Buga”, przeniesionym w warunki Ziemi Zachodnich, do których nie umie się przystosować. Obsadę uzupełniają: ELŻBIETA KEPINSKA (Andzia), ZDZISŁAW TOBIASZ (Papiernik, miejscowy spekulant i amant Kosickiej) oraz MONIKA DZIENISIEWICZ (Magda). STEFAN SRÓDKA włożył wiele wysiłku, by uprawdopodobnić i ożywić dość schematyczną i papierową postać Jordana. Chwilami mu się to nawet udało.

Zastanawiałem się nad tym, czy można było uratować coś więcej ze sztuki Bordowicza, która w lekturze wydała mi się lepszą. I doszedłem do wniosku, że może spektakl poszedł zbyt daleko w kierunku naturalistycznym. Gdyby doszła w nim bardziej do głosu poetycka warstwa sztuki, przedstawienie nie byłoby chyba tak ponure i przygnębiające. Zbyt wolne wydało mi się również jego tempo. Ale wypowiadam te zastrzeżenia z wieloma wątpliwościami i wcale nie jestem pewny, że takie potraktowanie sztuki zapewniłoby jej sukces. Po prostu trzeba zacząć na następną sztukę Bordowicza. Jestem pewny, że stać go na utwór wartościowy pod względem literackim i mający więcej do powiedzenia pod względem zawartości intelektualnej, niż „Idący o poranku”. A jeśli wystawienie tej sztuki ułatwi mu zrozumienie słabości i wad jego dramaturgii — wówczas teatr „Ateneum” spełnił swoje zadanie mimo niepowodzenia spektaklu.

ROMAN SZYDŁOWSKI